

CATHERYNNNE M. VALENTE

NIEŚMIERTELNY



Bliss

CATHERYNNE M. VALENTE

NIEŚMIERTELNY

PRZEŁOŻYŁ

Robert J. Szmidt

Bliss

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Deathless

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz

Redakcja: Bożena Sęk

Konsultacja merytoryczna: Natalia Lemann

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Agata Łuksza

DTP: Maciej Grycz

Deathless

Copyright © 2011 by Catherynne M. Valente

All rights reserved.

Copyright © 2026 for the Polish edition by Bliss an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Robert J. Szmidt, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8371-923-8

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Bliss

1

Trzej mężowie przybywają na ulicę Gorochową

Wnadmorskim mieście, które niegdyś zwało się Sankt Petersburg, później Piotrogród, jeszcze później Leningrad, a w końcu – po dłuższym czasie – po prostu Petersburg, przy długiej wąskiej ulicy stał długi wąski dom. Siedząca przy jego długim wąskim oknie dziewczynka w jasnoniebieskiej sukience i jasnozielonych pantoflach czekała na ptaszka, który by się z nią ożenił.

Dla większości rodziców byłby to powód, aby odesłać córkę do pokoju dziecięcego, dając delikatnie do zrozumienia, że będzie mogła z niego wyjść dopiero wtedy, gdy przestanie myśleć o takich dziwnych rzeczach, lecz tak się składało, że Maria Moriewna widziała przez okno wszystkich trzech mężów swoich sióstr, zanim zapukali oni do wspaniałych drzwi z drewna czereśniowego – dzięki temu była równie pewna swojego losu jak koloru księżyca.

Pierwszy mąż się pojawił, kiedy Maria miała zaledwie sześć lat, a jej siostra Olga była już wysoką urodziwą panną ze złocistymi włosami upiętymi z tyłu jak bela siana po żniwach. Dzień był srebrzyście wilgotny, a długie wąskie chmury, przypominające zgrabnie skręcone papierosy, przecaczały się nad ich dachem. Z okna pokoju na piętrze Maria obserwowała ptaki, które zebrane w koronie dębu wystawiały dzioby na pierwsze najmniejsze krople deszczu, gdyż te – jak wiedzą wszystkie skrzydlate stworzenia – są najśłodsze, a przypominają winogronka tryskające sokiem na języku. Maria wybuchnęła śmiechem, widząc, że gawrony dokazują w padającym deszczu, a kiedy to zrobiła, wszystkie jak jeden mąż się odwróciły, aby przyspilić ją spojrzeciami ostrymi jak igły. Jeden z nich, szczególnie tłuściutki, wychylił się niebezpiecznie z zielonej gałęzi i – nie odrywając oczu od Marii – spadł twardo (tupu-cupu!) na ulicę. Nie zabił się jednak, a tylko odbił od ziemi i gdy stanął ponownie na nogach, był już przystojnym młodzianem w eleganckim czarnym mundurze z guzikami błyszczącymi jak krople deszczu. Najbardziej jednak ze wszystkiego uwagę zwracał jego nochal, wielki i garbaty.

Młodzian zapukał do wspaniałych drzwi z czereśniowego drewna. Moment później matka Marii Moriewny rumieniła się pod jego spojrzeniem.

– Przychodzę po dziewczynkę z okna – powiedział zwięźle miłym głosem. – Nazywam się porucznik Woronin i należę do Czarnej Gwardii. Mam wiele pięknych domów pełnych nasion, wiele pięknych pól pełnych ziarna i więcej sukien, niż będzie miała okazję nosić w swoim życiu, nawet gdyby przebierała się rano, wieczorem i o północy każdego dnia.

– Z pewnością chodzi wam o Olgę – powiedziała matka Marii, zakrywając dłonią dekolt. – To najstarsza i najśliczniejsza z moich córek.

Po chwili w drzwiach stanęła Olga, która faktycznie chowała się za oknem na parterze, tyle że od strony ogrodu pełnego spadłych jabłek, nie zaś od ulicy. Widok przystojnego młodziana w eleganckim czarnym mundurze przeppełnił ją niczym wino bukłak, zatem ucałowała gościa niewinnie w oba policzki. Ruszyli razem w dół ulicy Gorochowej, przy której on kupił jej złoty kapelusz z długimi czarnymi piórami za otokiem.

Kiedy wrócili pod wieczór ze spaceru, porucznik Woronin spojrzął w fioletowe niebo i westchnął.

– To nie jest dziewczyna z okna. Ale będę ją kochał, jakby nią była, ponieważ teraz rozumiem, że tamta nie jest mi pisana.

I tak Olga z wdzięcznością udała się do siedziby porucznika Woronina, skąd pisała do sióstr ładnie skomponowane listy, w których czasowniki pięły się niczym zamki, a rzeczowniki w celowniku wystrzeliwały niczym dobrze zadbane róże.

Drugi mąż się pojawił, kiedy Maria miała dziewięć lat, a jej siostra Tatiana – podstępna i płomienna niczym lisiца – wiecznie tylko strzelała bystrymi szarymi oczami za wszystkim, co ją zaciekawiło. Maria Moriewna siedziała przy oknie i obrębiała sukienkę do chrztu drugiego syna Olgi. Była wiosna, a poranny deszcz sprawił, że ich długa wąska ulica wydawała się śliska i błyszcząca, do tego uklejnocona mokrymi różowymi płatkami kwiatów. Raz jeszcze z okna na piętrze Maria obserwowała ptaki wyfruujące z korony

wielkiego dębu i walczące o przemoczone i oklapłe kwiaty czereśni, które – jak wie każde skrzydlate stworzenie – są najpyszniejsze ze wszystkich kwiatów i rozpuszczają się na języku zupełnie jak imbirowe babeczki. Maria wybuchnęła śmiechem, widząc, jak drozdy dokazują wśród kwiecia, a kiedy to zrobiła, wszystkie jak jeden mąż się odwróciły, aby przyszpilić ją spojrzeniami ostrymi jak noże. Jeden z nich, najbardziej brązowy, wychylił się niebezpiecznie z zielonej gałęzi i – nie odrywając oczu od Marii – spadł twardo (łupucupu!) na ulicę. Nic sobie nie zrobił, tylko odbił się od ziemi i gdy stanął ponownie na nogach, był już przystojnym młodzieńcem w eleganckim brązowym mundurze z guzikami rażącymi jak słońce i z szerokim białym pasem. Najbardziej jednak ze wszystkiego uwagę zwracały jego usta, pełne i łagodne.

Młodzieniec zapukał do wspaniałych drzwi z czereśniowego drewna. Moment później matka Marii Moriewny uśmiechała się pod jego spojrzeniem.

– Nazywam się porucznik Zujok i należę do Białej Gwardii – powiedział, gdyż świat zdążył się odmienić. – Przychodzę po dziewczynkę z okna. Mam wiele pięknych domów pełnych owoców, wiele pięknych pól pełnych pędraków i więcej klejnotów, niż będzie miała okazję nosić w swoim życiu, nawet gdyby zmieniała pierścienie rano, wieczorem i o północy każdego dnia.

– Z pewnością chodzi wam o Tatianę – powiedziała matka Marii, przykładając dłoń do piersi. – To moja druga córka, tylko odrobinę mniej śliczna od pierworodnej Olgi.

Po chwili w drzwiach stanęła Tatiana, która faktycznie chowała się za oknem na parterze, tyle że od strony ogrodu

pełnego kwitnących jabłoni, nie zaś od ulicy. Widok przystojnego młodzieńca w eleganckim brązowym mundurze wypełnił ją niczym powietrze balon, zatem ucałowała gościa nie tak znów niewinnie prosto w usta. Ruszyli razem w dół ulicy Gorochowej, przy której on kupił jej biały kapelusz z długimi kasztanowymi piórami za otokiem.

Kiedy wrócili pod wieczór ze spaceru, porucznik Zujok spojrzął w turkusowe niebo i westchnął.

– To nie jest dziewczyna z okna. Ale będę ją kochał, jakby nią była, ponieważ teraz rozumiem, że tamta nie jest mi pisana.

I tak Tatiana z radością udała się do siedziby porucznika Zujok, skąd pisała do siostr wyszukane listy, w których czasowniki zdawały się roztańczone, a rzeczowniki w celowniku wabiły niczym stoły gotowe do uczyty.

Trzeci mąż się pojawił, kiedy Maria miała dwanaście lat, a jej siostra Anna – smukła i łagodna niczym sarnię – rumieniła się przy każdej okazji, i to szybciej, niż słońce rzucało cień. Maria Moriewna siedziała przy oknie i obrębiała kołnierzyk u sukni pierwszej córki Tatiany. Była zima, a śnieg na ulicy Gorochowej piętrzył się wysoko zaspami, które przypominały długie zamrożone kurhany. Raz jeszcze z okna na piętrze Maria obserwowała ptaki szalejące w koronie wielkiego dębu i walczące o ostatnie orzechy, skradzione wiewiórkom i ukryte w załomkach kory, które – jak wie każde skrzydlate stworzenie – są najbardziej gorzkie ze wszystkich orzechów i na języku mają smak zastarzałych smutków. Maria wybuchnęła śmiechem, widząc, jak derkacze dokazują wśród żółędzi, a kiedy to zrobiła, wszystkie jak jeden mąż się odwróciły, aby przyszpilić ją spojrzeniami ostrymi jak bagnety. Jeden z nich,

stateczny i najbardziej popielaty, wychylił się niebezpiecznie z zielonej gałęzi i – nie odrywając oczu od Marii – spadł twardo (łupu-cupu!) na ulicę. Nic mu się jednak nie stało, odbił się tylko od ziemi i gdy stanął ponownie na nogach, był już przystojnym młodym mężczyzną w eleganckim szarym mundurze z guzikami lśniącymi jak latarnie i z szerokim czerwonym pasem. Najbardziej jednak ze wszystkiego uwagę zwracały jego oczy, zwężone podłym sprytem.

Młody mężczyzna zapukał do wspaniałych drzwi z czerwieńowego drewna. Moment później matka Marii Moriewny marszczyła czoło pod jego spojrzeniem.

– Nazywam się porucznik Żulan i należę do Armii Czerwonej – powiedział, gdyż świat zaczął się chwiać w posadach, niepewien, w którą stronę się skłonić. – Przychodzę po dziewczynkę z okna. Mam wiele pięknych domów, którymi dzielę się z towarzyszami, wiele pięknych rzek, którymi dzielę się z rybakami, i więcej książek, niż będzie miała okazję przeczytać w swoim życiu, nawet gdyby sięgała po inną rano, wieczorem i o północy każdego dnia.

– Z pewnością chodzi wam o Annę – powiedziała matka Marii, kładąc dłoń na biodrze. – To moja trzecia córka, tylko odrobinę mniej śliczna od pierworodnej Olgi i od Tatiany, która przyszła na świat niedługo po niej.

Po chwili w drzwiach stanęła Anna, która faktycznie chowała się za oknem na parterze, tyle że od strony ogrodu pełnego gołych gałęzi, nie zaś od ulicy. Widok przystojnego młodego mężczyzny w eleganckim szarym mundurze przepełnił ją niczym woda wiadro, zatem z wielką nieśmiałością pozwoliła jedynie, aby ucałował jej dłoń. Ruszyli razem w dół ulicy, przemianowanej nie tak dawno na ulicę Kommissarowską,

przy której on kupił jej skromną szarą czapkę z czerwoną gwiazdą na przodzie.

Kiedy wrócili pod wieczór ze spaceru, porucznik Żułań spojrzał w ciemne niebo i westchnął.





– To nie jest dziewczyna z okna. Ale będę ją kochał, jakby nią była, ponieważ teraz rozumiem, że tamta nie jest mi pisana.

I tak Anna posłusznie udała się do siedziby porucznika Żułań, skąd pisała do sióstr układne listy, w których czasowniki zajmowały nie więcej miejsca niż rzeczowniki, a rzeczowniki w celowniku pytały tylko o tyle, o ile wypadało.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca